

ZIEMKIEWICZ

CZAS

BEZPRAWIA



fabryka słów
WYDAWNICTWO

ZIEMKIEWICZ

CZAS
BEZPRAWIA

fabryka słów®

WARSZAWA

PUBLICYSTYKA OKIEM ZIEMKIEWICZA

Polactwo

Michnikowszczyzna

Myśli nowoczesnego endeka

Cham niezbytowany

Strollowana rewolucja

Wielka Polska

Czas bezprawia

HISTORIA OKIEM ZIEMKIEWICZA

Jakie piękne samobójstwo

Złowrogi cień Marszałka

CZTERY TYSIĄCE ŻYDÓW TUSKA (ZAMIAST WSTĘPU)

Apolityczne media to konstrukt tego samego rodzaju, co sprawiedliwość społeczna, wolny rynek czy demokracja – coś, co chcielibyśmy wszyscy, żeby istniało, ale w istocie niedościgniony ideał, którego w realu jeszcze nikomu nigdzie i nigdy nie udało się do końca zrealizować. Jedni się do tego ideału zdołali zbliżyć bardziej, choć przeważnie nie na długo, inni mniej... My akurat jesteśmy od niego daleko. Tak daleko, że jedyne w Polsce media, które można nazwać apolitycznymi, to gaz, prąd i bieżąca woda. Wszystkie inne zmuszone są jakoś się opowiadać i uczestniczyć w rozdzierającym kraj plemiennym sporze – nawet te odległe z pozoru od polityki, lajfstajlowe. Ba, w pewnym sensie to one właśnie są na pierwszej linii, bo przecież jednym z głównych, jeśli nie głównym polem medialno-politycznej wojny jest walka o kontrolę nad „dystrybucją szacunku”: kreowanie

autorytetów i kontrautorytetów oraz podprogowe, neurolingwistyczne warunkowanie publiczności w odruchach, co jest fajne, a co obciachowe, i z czego rechotać, a czym się zachwycać.

Nie ma co zaprzeczać rzeczywistości, trzeba się z nią pogodzić – w takiej sytuacji możemy mieć tylko media bardziej i mniej prawicowe lub lewicowo-liberalne, bardziej przy władzy i bardziej przy opozycji i tak dalej. I dla człowieka myślącego jedyna sensowna instrukcja ich obsługi to obserwować różne, konfrontować je ze sobą i w ten sposób wyrabiać własne zdanie. Wielu Polaków tak robi – co charakterystyczne, badania wskazują, że głównie tych „prawicowych”. Przeciętny przedstawiciel plemienia „peowskiego” natomiast, przeciwnie, stara się za wszelką cenę nie wychylać nosa ze swojej bańki i wręcz histerycznie domaga się od swojego otoczenia i wszystkich w ogóle, aby nie korzystali z żadnego alternatywnego przekazu, a najlepiej, żeby żadnego przekazu alternatywnego w ogóle nie było. Niesiony lękiem przed doznaniem dysonansu poznawczego, kibicuje rzeczom, które gdyby zdolny był choć przez chwilę się nad tym zastanowić, sam musiałby uznać za krańcowo podłe: terroryzowaniu przez lewicowe media i władze reklamodawców, by pozbawić przeciwników finansowania, wszelkiego rodzaju represjom przeciw wolności słowa czy nawet przejmowaniu mediów po bandycku, siłą, jak zrobiono to w grudniu 2023 roku z TVP, Polskim Radiem i PAP.

Donald Tusk od prawie roku stara się usilnie, by te oczekiwania spełnić. Niewątpliwie sprzyja jego planom nieudolność wykazana przez PiS w sferze mediów w ostatnich ośmiu latach. A raczej nie tyle nieudolność,

co chorobliwa, obsesyjna dążność poprzedniej władzy do trzymania „prawicowych” mediów pod pełną kontrolą, sprawowaną za pośrednictwem instytucji państwowych. To ona sprawiła, że Tusk mógł po przejęciu władzy sporą część z nich zniszczyć kilkoma prostymi ruchami, przejmując ministerstwa i spółki Skarbu Państwa.

Mimo wszystko sytuacja dzisiejsza daleka jest od tej z roku 2015, kiedy to właściwie – kto jeszcze pamięta? – wszystkie „przekaziory”, poza kilkoma prawicowymi niszami, codziennie śpiewały na chwałę PO, bez końca wołając: „Kolejny wielki sukces Donalda Tuska, cały świat go podziwia! Kolejna straszliwa kompromitacja Kaczyńskiego, cały świat potępia i szydzi!”. Tu Kraśko, tam Durczok, a tam Gugąła, i wszyscy wpatrzeni w tego samego dyrygenta – wtedy większość społeczeństwa uważała, że ten chór to normalność; tak było przecież w III RP od zawsze, odkąd Jaruzelski i Kiszczak dogadali się w Magdalence z Wałęsą, a ten ostatni dał Michnikowi gazetę Solidarności i wyznaczył konfidenta SB na szefa Radiokomiteu. Dziś, po ośmiu latach względnego zróżnicowania, wielu przyzwyczało się do możliwości wyboru i chciałoby ją zachować. Gwałtowny skok oglądalności TV Republika po włamie do TVP nie pozostawia co do tego wątpliwości.

Dla rządzących to nie do przyjęcia. Robią wszystko, żeby media niekontrolowane przez PO zniszczyć albo zwasalizować. Próba reklamowego zagłodzenia Republiki, proszę zauważyć, popchnęła już władzę, siłą rzeczy, bo ta nadaje na polsatowskiej platformie i korzysta z jej brokerów, do ataków na Polsat. Zbigniewowi Solorzowi zupełnie jasno i publicznie dano do zrozumienia, że interesy, jakie robi w energetyce, wymagają potulności

wobec rządu – i w istocie, media z nim związane bardzo stonowały krytykę rządzących. Jestem więcej niż pewien, że podobne aluzje były, są względnie zacząć być zaraz wykonywane wobec mediów ZPR czy wydawcy „Dziennika Gazety Prawnej”. Kilka niewygodnych dla władzy publikacji Wirtualnej Polski ściągnęło furię także i na ten portal, mimo jego niewątpliwie antypisowskich afiliacji.

Pojawienie się w medialnej przestrzeni nowego przedsięwzięcia, Kanału Zero Krzysztofa Stanowskiego, pchnęło „Gazetę Wyborczą” do natychmiastowej próby wizerunkowego zniszczenia założyciela kanału – nie dlatego, że nagłośnił coś, czego obóz rządzący się obawia, ale dlatego, że jego sukces, niezgodniony z pro-rządowymi elitami, nieumarunkowany zblatowaniem się z nimi i wymianą przysług, czyni go do tego zdolnym. Samo istnienie medium docierającego do milionów, a pozostającego poza kontrolą establishmentu to w myśleniu ludzi wychowanych w duchu ugody z Magdalenki „populizm i faszyzm”.

Pamiętam jeszcze, co robił ten sam gang, gdy był u władzy poprzednio – wyszczucie Anglików z Presspubliki i oddanie jej na zmarnowanie niejakiemu Hajdarowiczowi, „załatwienie” u starszej pani Springer wyrzucenia z „Faktu” Grzegorza Jankowskiego, wjazd do „Wprost” czy serwisu AntyKomor. Tusk się przecież od tego czasu nie zmienił, a jeśli, to na gorsze.

Do walki z mediami musiała się nowa-stara ekipa uzbroić w odpowiednią narrację. I zbudowała ją, stary zamordyzm michnikowszczyzny z pierwszej dekady III RP mieszając z nowymi, spod znaków „woke” i LGBT. Usłudni profesorowie i celebryci nadęli się na komendę potępieniem dla „mowy nienawiści”. Jak podsunął to

czołowy konsument państwowych grantów na „walkę z mową nienawiści” profesor Michał Bilewicz, trzeba cenzurować i nasyłać na media policję i prywatnych zbirów, bo przecież „hejt przeciwko WOŚP doprowadził do śmierci Pawła Adamowicza”.

Śmierć Pawła Adamowicza, przyjdzie dalej przypomnieć jej szczegóły, nie miała nic wspólnego z żadnym hejtem (który, nawiasem mówiąc, wylewały na niego głównie media peowskie – był przecież zdrajcą partii, bo wystartował przeciwko wyznaczonemu przez nią na prezydenta Gdańska Wałęsie juniorowi). Zostało to stwierdzone ponad wszelką wątpliwość w przewodzie sądowym i podkreślone w uzasadnieniu wyroku wydanego na jego mordercę. Ale to peowskiej narracji o Adamowiczu w najmniejszym stopniu nie przeszkadza: prawda została już ustalona i żadne fakty jej nie zmieniają, jak ujęła to mediaworkerka TVN24.

Ten mechanizm działa w dziesiątkach spraw. Podręcznikową jego realizacją, o której zapewne będą się w przyszłości uczyć studenci, była opowieść o czterech tysiącach Żydów, co to niby nie przyszli feralnego dnia do World Trade Center. Tysiąc razy udowodniono, że nic podobnego nie miało miejsca, że była to z dupy wzięta wrzutka zmyślona na poczekaniu, parę godzin po tragedii, przez jakiś portalik Hezbollahu – nieważne, bzdura o tych Żydach wraca nieustannie. Podobnie w Polsce wraca „ostatnia rozmowa braci”, TW „Balbina”, „maybach ojca Rydzyka” czy właśnie „hejt” jako przyczyna śmierci Pawła Adamowicza. Joseph Goebbels zwykł mawiać, że „kłamstwo tysiąc razy powtórzone staje się prawdą”, ale i III Rzesza, i inne dawne państwa totalitarne w praktyce opierały swoją propagandę na innym

mechanizmie: jeśli odetniesz człowieka od innych przekazów niż twój, uzna go za prawdę z braku laku. I Stalin, i Hitler bardziej niż na powtarzaniu tysięcy razy swoich kłamstw bazowali na cenzurowaniu prawdy. Goebbelsowski model propagandy zrealizowany został w pełni dopiero dziś, w dobie mediów korporacyjnych, dysponujących nieograniczonymi funduszami i żyjących w symbiozie z władzą polityczną, oraz mediów społecznościowych, które bezlitośnie wykorzystują ludzką słabość, jaką jest skłonność człowieka do zamykania się w internetowych „bańkach”, w takim przekazie, który mu pasuje i potwierdza, że jest fajny, słuszny i należy do tych lepszych niż „oni”. Dopiero dziś jest tak, że prawdy nie trzeba cenzurować, zakazywać – choć moi tego świata zawsze to lubią – że można ją po prostu zagłuszyć, zakrzyczeć, utopić w jazgocie. To nieważne, kto i dlaczego zabił Adamowicza, to nieważne, że nie było żadnych ostrzeżeń przed zamachem Żydów, ostatniej rozmowy ani maybacha. Ważne jest karmienie swoich emocji, zwłaszcza tych najbardziej haniebnych.

To nie są dobre czasy dla osób, które zajmują się tym, czym ja się zajmuję – pomaganiem ludziom w porządkowaniu sypanych się na nich informacji, łączeniu ich w przyczynowo-skutkowe ciągi i uświadamianiu przyczyn i konsekwencji. Wymaga się od takich, by raczej obsługiwali emocje jednej ze stron. Jak to kiedyś ujął pewien poseł PiS, zirytowany krytyką ze strony „swoich” dziennikarzy (no bo że „oni” nas atakują, to jasne – ale „swoi”?): to jest wojna, a na wojnie nie zakłada się klubów dyskusyjnych!

Odmawiam godzenia się z tym szaleństwem. Jako katolik, tradycjonalista, polski patriota, jestem oczywi-

ście bliżej jednej ze stron tej plemiennej wojny, ale czuję się zobowiązany do intelektualnej uczciwości wobec swoich czytelników. Odmawiam – by rzecz ująć metaforą ze sławnego wiersza Zbigniewa Herberta – popychania palcem jednej z szalek wagi, by pokazała to, co powinna pokazać. Wiem, że na mocy opisanych wyżej mechanizmów wielu potencjalnych odbiorców bronić się będzie przed prawdą, którą staram się im przekazać, rękami i nogami, a z kolei wielu tych, którzy są na nią otwarci, nie oczekuje niuansów i wątpliwości. Ale wiem też, bo dowiodła tego praktyka tygodnika „Do Rzeczy”, który mam zaszczyt współtworzyć od lat z grupą przyjaciół, że liczba tych, którzy chcą mieć własne zdanie, wciąż jest znacząca. Stąd ten zbiór, złożony w większości z tekstów pisanych w ostatnich latach dla tego właśnie tygodnika – przejrzanych, oczywiście, i uzupełnionych. Poza wszystkim, będących realizacją postulatu innego naszego wielkiego poety, by spisane zostały czyny i rozmowy, które w jazgocie politycznej bieżączki i lawinie pijarowskich „przykrywek” łatwo giną w niepamięci.

NOWA GRA NIEMIEC

Nakręcane przez polityczne plemiona oskarżenia i emocje wojny na symbole zupełnie przysłoniły Polakom polityczną ofensywę naszego zachodniego sąsiada. Tymczasem w ciągu zaledwie nieco ponad tygodnia Niemcy dali kilka znaczących sygnałów, które powinny być nad Wisłą zauważone i wzięte pod uwagę.

Zacznijmy od ożywionej aktywności ambasadora Thomasa Baggera. W kolejnych wypowiedziach dla niemieckiej i polskiej prasy, a także w mediach społecznościowych oskarżył Polskę, że płacąc „miliardy” za ropę i inne nośniki energii, sfinansowała rosyjską agresję na Ukrainę w co najmniej porównywalnym stopniu jak Niemcy. Fakt, że to jednak Niemcy zbudowały dwie rury nord streamów oraz różnymi metodami wymusiły na całej Europie uzależnienie się od rosyjskiego gazu, uznanego pod ich naciskiem za paliwo „ratujące planetę”, zbył ambasador stwierdzeniem, że był to błąd,

ale Niemcy w ostatnich miesiącach bardzo zmienili podejście do Rosji, więc nie ma już o czym mówić (podobnie jak o „zamkniętej” sprawie reparacji za popełnione w Polsce zbrodnie wojenne, której niepotrzebne podniesienie szkodzi pojednaniu). Warto dodać, że dzieląc się z Polską winą za sfinansowanie zbrojeń Putina, ambasador Bagger mówił niemal słowo w słowo z politykami PO i jej mediami; podobną zgodność wykazuje oskarżenie, że rząd Polski w sztuczny sposób kreuje Niemcy na wroga, gdy w istocie są one Polsce przyjazne, a dla bliższej współpracy polsko-niemieckiej nie ma alternatywy.

Tę ostatnią tezę podniósł przewodniczący rządzącej Niemcami partii SPD Lars Klingbeil, który złożył w Warszawie wizytę niemal zupełnie nieodnotowaną w polskich mediach, ale szeroko komentowaną w Niemczech. W tamtejszych komentarzach uznano przemówienie wygłoszone przez Klingbeila podczas sfinansowanej przez Fundację Friedricha Eberta sesji w warszawskim muzeum Polin wręcz za przełomowe, wyznaczające nową Ostpolitik i otwierające nowy rozdział w stosunkach z państwami Europy Środkowej. „Nowe partnerstwo z Europą Wschodnią i Środkową – ale pod niemieckim przywództwem” – zaanonsował je dziennik „Die Welt”.

Co takiego powiedział przewodniczący SPD? Z pozoru same frazesy, z których wynikać miało, że Niemcy gotowe są stanąć na czele naszego regionu i objąć środkowoeuropejskie państwa szczególną troską; w jakiś sposób zabrzmiało to symetrycznie do powtarzanych przez kanclerza Olafa Scholza deklaracji o gotowości objęcia przez Berlin przywództwa nad Europą Zachodnią i poprowadzenia jej przez proces pogłębiania integracji, budowy nowego systemu jednolitego, scentralizo-

wanego zarządzania kontynentem oraz ratowania planety przed niezależnością energetyczną poszczególnych krajów. Nie to jednak było najważniejsze, co Klingbeil powiedział, ale to, o czym nie wspomniał; otóż nie padło tym razem ani słowo o konieczności uwzględnienia w nowej architekturze regionu interesów rosyjskich. A jeszcze do niedawna była to w każdym przemówieniu każdego liczącego się niemieckiego polityka wręcz mantra.

W medialnej krzątaninie ambasadora Niemiec oraz prominentów niemieckiej polityki zwraca uwagę jeszcze jeden wątek: od pewnego czasu Niemcy nie tylko wydają wielkie pieniądze na wmawianie światu, że nikt w Europie nie pomaga tak hojnie i tak intensywnie jak oni Ukrainie, ale też niezwykle nerwowo reagują na każde zwrócenie uwagi, że tej propagandowej tezy dowodzą, rozmnażając składane Ukrainie obietnice sztuczkami „kreatywnej księgowości”, a momentami wręcz kłamiąc w żywe oczy. Co dla nas szczególnie przykre, swoje rzekome zaangażowanie we wspieranie Ukrainy Niemcy usiłują w oczach świata uwydatnić poprzez pomniejszanie tego, co dla Ukrainy robi, i z czego jest dumna, Polska. W wiodących mediach niemieckich powtarzane są opinie, że Polska przekazuje walczącej Ukrainie szmelc, czołgi ze złomowiska i wybuchające w rękach karabinki (analogiczne publikacje w polskojęzycznym Onecie są tylko echem „przełożenia wajchy” w centrali) i że w żaden sposób nie można stawiać polskiej pomocy na równi z obiecywanymi przez Niemcy nowoczesnymi rodzajami broni.

Towarzyszy tym publikacjom wzmożenie w oskarżaniu Polski o zbrodnie na naszej wschodniej granicy. Operacja „Śluza” trwa już od ponad roku i nie była dotąd zbyt

intensywnie odnotowywana w niemieckich mediach; być może decydowała o tym świadomość, że w istocie bronimy tu Niemiec, bo „nachodźcy” Putina i Łukaszenki nie próbują przecież ani nie zamierzają bynajmniej osiedlać się w Polsce. W ostatnich tygodniach wyraźnie się to zmieniło. Mamy istny wysyp lamentów nad rzekomo masowo ginącymi w polskich lasach i chowanymi potajemnie przez straż leśną w zbiorowych mogiłach „uchodźcami”. Wszystko to w ten czy inny sposób prowadzi ku morałowi: „może i Polacy coś tam zrobili dla uchodźców z Ukrainy, ale to tylko dowodzi, jak wielkimi i nieuleczalnymi są rasistami – pomagają tylko białym i kulturowo sobie bliskim, ale kolorowych prześladują bezwzględnie”. Tu także istotnym elementem propagandy, w której pewne niemieckie ośrodki posuwają się do nazywania Polaków „narodem morderców”, jest uaktywnienie agentur wpływu w Polsce. Stanowią one nie tylko główne źródła tych „rewelacji”, ale także uwiarygodnienie antypolskiej narracji przed zachodnią opinią publiczną – by wskazać jedynie europosłankę Ochojską czy organizację o nazwie „Grupa Granica”, prezentowaną jako jakieś szlachetne bractwo bojowników sumienia, niemożących się pogodzić z panującym w ich kraju nieludzkim reżimem. Niestety, to nie polskie publikacje i oficjalne wypowiedzi, ale właśnie tego rodzaju oskarżenia rezonują w tej chwili w mediach zachodnioeuropejskich.

Te i szereg pomniejszych sygnałów wyznaczają politykę informacyjną Niemiec wobec regionu, który w tradycji tamtejszej polityki kojarzy się z projektem politycznym o nazwie „Mitteleuropa”. Z jednej strony Niemcy z większą niż kiedykolwiek intensywnością dyskredytują Polskę, otwarcie przyznając nam co prawda „rosnące

znaczenie”, ale skupiając uwagę na rozmaitych „ale”, mających dowieść, że Polska już wszystko, co mogła dobrego, zrobiła i do niczego więcej nie jest zdolna – z drugiej natomiast mamy coraz bardziej wyraźne deklaracje odrzucenia jako „błędów” dotychczasowej polityki „szanowania interesów rosyjskich w regionie”.

Skąd ta zmiana? Co takiego się stało, że Niemcy, którym przez wiele miesięcy zależało przede wszystkim na „trzymaniu otwartych drzwi dla Rosji”, na prezentowaniu się w jej oczach jako partner gotów w imię „realistycznego” przekonania, że „z Rosją nie można wygrać”, a zwłaszcza jej zniszczyć, wrócić, gdy tylko stanie się to możliwe, do obopólnie korzystnego status quo ante – teraz wyraźnie starają się zaprezentować Zachodowi jako prymus we wspieraniu Ukrainy i państwo gotowe „zagospodarowywać” jej dawną strefę wpływu, w domyśle – po wypchnięciu z niej dotychczasowego hegemonu?

Podczas swojej wizyty w Warszawie prezydent USA Joe Biden bardzo stanowczo wskazał cele swojej polityki: wschodnią granicą Zachodu ma być obecna wschodnia granica Białorusi i Ukrainy, Rosja ma zostać zepchnięta w głąb Azji. Jest to polityka stojąca w skrajnej sprzeczności z podstawowym po 24 lutego 2022 roku założeniem polityki niemieckiej – że „Rosja musi zostać pokonana, ale nie może zostać zmiażdżona” (to akurat słowa prezydenta Francji, ale w pełni zgodne z postępowaniem Olafa Scholza). Zgodnie z tym założeniem Niemcy twardo obstawały, że wojna musi się skończyć jakimś rozejmem, po którym nastąpi „reset” – w najlepszym wypadku poprzedzony mniej lub bardziej kosmetyczną „pierestrojką” na Kremlu, ale jeśli do niej nie dojdzie, to i z „taką Rosją, jaka jest”.

Wydaje się, że niemieckie nastawienie zmieniło kilka czynników. Po pierwsze, wspomniana już stanowczość okazana w kwestii „deimperializacji” Rosji przez USA; po drugie, klęski rosyjskiej armii, od dziewięciu miesięcy trykającej bezowocnie i przy ogromnych stratach głową w umocnienia Bachmutu. Obie te sprawy spotkały się jednak z zupełnie u nas niedostrzeżonym gestem Waszyngtonu: zaledwie gdzieś po marginesach serwisów ekonomicznych przemknęły wiadomości o deklarowanej przez rząd USA gotowości złożenia dużych zamówień zbrojeniowych dla przemysłu niemieckiego, w tym na podzespoły dla zaawansowanych technologicznie systemów obrony powietrznej. Niejako w odpowiedzi ze strony niemieckiej pojawiły się deklaracje chęci budowy terminalu do odbioru amerykańskiego gazu i zawarcia w tej kwestii stosownych długoterminowych kontraktów.

Co prawda równolegle Berlin trwa na prorosyjskich pozycjach, na przykład torpedując plany umieszczenia w oficjalnych dokumentach UE zapisu o konieczności zapłacenia przez Rosję reparacji za zniszczenia i zbrodnie na Ukrainie. Ale coraz wyraźniej jest to gra na dwóch fortepianach. Niemcy, którzy w przeciwieństwie do Polaków myślą nad swoją polityką, definiują swoje długofalowe interesy i z całym cynizmem dążą do ich realizacji, wyraźnie zaczęły sygnalizować gotowość do porzucenia mrzonek o powrocie neobismarckowskiego ładu wyznaczonego polityką Merkel i do odnalezienia się w nowym europejskim „Pax Americana” – za cenę pozostawienia im jako strefy wpływu Europy Środkowej.

Częścią tej polityki jest wykazywanie Ameryce, że Polska, słaba, skłócona i dopuszczająca się rasistowskich

zbrodni na uchodźcach i mniejszościach seksualnych, nie może być poważnie traktowana jako kandydat na strategicznego partnera USA w regionie. Może kiedyś, po ucywilizowaniu niemiecką kuratelą, i ona dorośnie do poważnego traktowania – ale na razie jednak taki kandydat jest tylko jeden.

Ta nowa polityka niemiecka jest dla nas wielkim zagrożeniem: jej ewentualne powodzenie oznaczałoby po prostu zamknięcie historycznego „okienka” i zmarowanie szansy na trwałe wybicie się do roli państwa „sprawczego”. Tym bardziej że trafia ona w Waszyngtonie na podatny grunt. Jeśli Polska nie uświadomi sobie tego i jak najszybciej nie podejmie walki o przywództwo w regionie, nie uruchomi mechanizmów politycznego lobbingu wśród sojuszników oraz nie wystąpi z konkretnymi propozycjami powiązania interesów państw wschodniej Dziewiątki, nasze przysłowiowe pięć minut w światowej polityce może się rzeczywiście okazać tylko pięcioma minutami, po których pozostaną nam jedynie gołosłowne pochwały i inne frazesy.

15 marca 2023

WIELKI POWRÓT BATA?

Cud kapitalizmu, ustroju, który przyniósł ludzkości niewyobrażalny w poprzednich epokach skok cywilizacyjny i technologiczny, a teraz, na naszych oczach, ginie, wyrażał się między innymi tym, że we wprowadzonym przezeń porządku przestała istnieć potrzeba zmuszania ludzi do pracy przemocą. Wydaje mi się, że mało kto zdaje sobie dziś z tego sprawę. Czytam te elaboraty o pańszczyźnie, których się ostatnio namnożyło (próżność podpowiada mi, że musiała mieć ta fala jakiś związek z rynkowym sukcesem mojego „Chama”), i wszystkie one wypełnione są opisami, jak to się pan pastwił nad chłopem, chłostał, brał w dyby i krzywdził na inne sposoby. Prawie nikt nie zauważa, a jeśli nawet, to ledwie mimochodem, że nie była to ani żadna polska specyfika, ani nawet specyfika stosunków na wsi. Przemoc stanowiła podstawę wszelkich relacji, począwszy od wychowania dzieci (Szymon Konarski wspominał

szlachciców, nawet magnatów, którzy zabierali mu uczniów, gdy dowiadawali się, że ich nie bije – bo cóż to za nauka, jeśli nie wbije jej się pasem?). Także relacji pracownika z... nawet nie można powiedzieć „pracodawcą”, raczej „właścicielem” i jego nadzorcami. Nie wynikało to z jakiegoś szczególnego sadyzmu wyżej postawionych – nie chłostali galerników, chłopów pańszczyźnianych czy robotników dla swojej przyjemności, tylko po to, żeby robota szła. Innego sposobu dostarczenia motywacji do pracy nie znali ani nadzorcy, ani nadzorowani.

Jeśli już ktoś w ogóle to zauważa, to znowu wielki krok w dziejach ludzkości, jakim było zastąpienie bata pensją, tłumaczy oświeceniowym humanitaryzmem. To bajka. Oświeceniowe wezwania, by traktować współobywateli po bratersku, nie byłyby skuteczniejsze niż ponawiane od stuleci wezwania Kościoła, by traktować bliźnich niższego stanu z ojcowską miłością, gdyby nie fakt, że dzięki rewolucji przemysłowej praca niewolnicza po prostu przestała się opłacać. Okazała się bowiem mniej wydajna – najlepszym tego dowodem była wojna secesyjna i zwycięstwo opartej na pracy dobrowolnej gospodarki przemysłowej nad niewolniczą. Waldemar Łysiak bodaj w tym właśnie kontekście z właściwą sobie dosadnością użył tu porównania do „wyższości” korzystania z prostytutki nad ożenkiem; żonę musisz utrzymywać, a od prostytutki dostajesz, co chcesz, płacisz tylko za to i więcej nic cię nie obchodzi.

Jakichkolwiek metafor używać, obietnica, że dzięki pracy możesz doznać społecznego awansu i zapewnić go potomstwu, otwarcie perspektywy poprawy bytu przez wysiłek stanowiło podstawę sukcesu. Jeszcze w początkach wieku XIX pracowników trzeba było do

Ameryki przywozić w kajdanach. Pod koniec tego stulecia cisnęli się już tłumnie sami, tak pełni zapału, by dać się amerykańskim kapitalistom „wyzyskiwać”, że trzeba było stworzyć dla nich obóz filtracyjny na nowojorskiej wyspie Ellis, a w wieku następnym otoczyć kraj przed ich naporem drutami kolczastymi i strażą.

Wszystko to wydaje się warte przypomnienia w kontekście wizji snuty dziś na szczytach Davos: „nie będziesz miał niczego i będziesz z tym szczęśliwy”. Własność się zlikwiduje, bo jest nieefektywna – toż prywatny samochód większość czasu stoi, lepiej niech będzie własnością korpo i, wynajmowany, jeździ stale; i tak ze wszystkim. No i, nie ma co ukrywać, trzeba drastycznie obniżyć poziom życia, bo „nie mamy planety B”.

Tylko jak wiemy w naszej części świata, jeśli wszystko jest wspólne, a perspektyw żadnych, odwieczny problem „jak zagonić klasy pracujące do pracy” powraca. A jego rozwiązanie jest, niestety, tylko jedno...

21 marca 2023

WROGIE PRZEJĘCIE WOLNOŚCI

W dzisiejszym świecie pojawił się nowy rodzaj zagrożenia dla wolności obywatelskich i dla praw człowieka: oligarchia wytworzona przez wielkie, działające globalnie korporacje. Tyrani tego nowego rodzaju, tak samo jak ich historyczni poprzednicy, dążąc do rozszerzenia swoich wpływów, zysków oraz władzy kosztem prostych ludzi, obywateli i konsumentów, starają się w tym celu obezwładnić instytucje publiczne. Ale czynią to w inny sposób, ponieważ wyrastają z innej tradycji niż ci, przed którymi społeczeństwa Zachodu przywykły się przez wieki bronić. Ich modus operandi nie jest jeszcze powszechnie znany, społeczeństwa nie wypracowały mechanizmów obronnych, ani nawet nie uświadomiły sobie jeszcze, że muszą je wypracować. Dlatego tyrani nowego rodzaju są w swoich działaniach skuteczniejsi.

Tyrani, których znamy z historii, wyrastali z kręgów związanych z posługiwaniem się przemocą. Byli wojskowymi, terrorystami, rewolucjonistami lub tłumiącymi

ruchy rewolucyjne i tropiącymi terrorystów policjantami. Dlatego gdy stawali przed problemem, właśnie przemoc nasuwała im się jako rozwiązanie. Masz wroga, który ci przeszkadza, zagraża twoim planom? Zniszcz go fizycznie: zabij, uwięź lub sterroryzuj.

Dziś po władzę nad tłumem i możliwość eksploataowania ludzi bez oglądania się na ograniczenia, jakie nakłada w tej mierze moralność i poczucie sprawiedliwości, sięgają ludzie wyrosli w tradycji korporacyjnej. Świat, który ich wydał, nie posługuje się przemocą fizyczną, ale pieniądzem. Masz wroga, który ci przeszkadza, zagraża twoim planom? Wykup go. Jeśli nie zadowolili się pieniędzmi – przejmij jego firmę. Zainwestuj w produkt podobny do tego, który buduje jego pozycję rynkową, i wykorzystaj swoją przewagę, aby zepchnąć go z rynku, a ostatecznie przejąć nad nim kontrolę.

W języku biznesu nazywa się taka operacja „wrogim przejściem”; jej powszechnie znanym przykładem jest skwapliwe wykupywanie przez koncerny informatyczne w zaraniu, w fazie start-upu, praw do każdego nowego wynalazku czy pomysłu mogącego im w przyszłości zagrozić.

Takie właśnie wrogie przejęcia zastosowali korporacyjni magnaci wobec ruchów społecznych, które były skierowane przeciwko nim. Proszę zobaczyć, co stało się z ruchem antyglobalistycznym i, generalnie, szeroko rozumianą lewicą, która go przed laty wydała. Nikt już nie chce „okupować Wall Street”, nikt nie wspomina o „podatku Tobina” ani żadnym innym z pomysłów na ograniczenie możliwości maksymalizowania zysków wielkich korporacji i ich globalnego transferowania. Skończyło się też tropienie przewin koncernów wobec przyrody –

nikt już nie ekscytuje się, że gdzieś zniszczono lokalny ekosystem, wylewając tony toksycznych chemikaliów, nikt nie analizuje szkód społecznych powodowanych przez koncerny w krajach afrykańskich czy azjatyckich, nikt nie współczuje nieletnim czarnym niewolnikom kopiącym dla nich rudy kobaltu i innych rzadkich metali ani miejscowej ludności zmuszonej opuszczać zmienione w step pola, bo do uzyskania z tych rud niezbędnych dla „ekologicznych” technologii pierwiastków trzeba milionów metrów sześciennych wody.

Nawet jeśli ktoś jeszcze o takich sprawach pamięta – tak, ukazują się książki, ale kto dziś czyta książki? – nie ma dla nich miejsca w przestrzeni medialnej, szczególnie wypełnionej postulatami „nowej lewicy”: kwestiami transpłciowości, inkluzywnością, promowaniem kosztownych i nieefektywnych technologii „ratujących planetę”. Nowa lewica przykleja się do szyb i dróg, niszczy dzieła sztuki, walczy o „neutralne płciowo ubikacje” i prawo gwałcicieli, którzy po aresztowaniu „zmienili identyfikację”, do przenoszenia się na kobiece oddziały więzienne. Nade wszystko zaś zajęta jest organizowaniem nagonek, cenzurowaniem życia publicznego, rugowaniem z uniwersytetów i mediów wszelkiej odmiennej myśli. Nie tylko konserwatywnej, także tradycyjnie lewicowej – by przywołać choćby przykłady „skancelowania” takich ikon feminizmu jak Martina Navrátilová, Kathleen Stock czy J.K. Rowling za rzekomą „transfobię”.

Wszystkie działania nowej lewicy mają jeden wspólny mianownik: w ten czy inny sposób służą pomnożeniu zysków wielkich korporacji. Wątpiącym polecam liczne przykłady omówione przez Joela Kotkina w „The Coming of Neo-Feudalism”, a także w „Woke, Inc.” przez

Viveka Ramaswamy'ego. Pierwszy z pozycji badacza, drugi whistleblowera znajdującego środowiska plutokratyczne od wewnątrz pokazują, że wszystkie idee promowane przez ruchy „woke” i oddane im środowiska opiniotwórcze służą wielkim korporacjom i maksymalizacji ich zysków. Wszystko zaś, co nie służy, jest przez „wokeizm” zagłuszane i pod tą zasłoną niezauważalnie dla opinii publicznej „wygaszane”, czego przykładem jest los „częściowo wprowadzonej w życie” ustawy Dodda-Franka.

Czy może być inaczej, jeśli lewicowa rewolucja jest hojnie sponsorowana przez globalne koncerny? Sama tylko koalicja lobbystów na rzecz ruchu LGBT, zarejestrowana przy Senacie USA, to ponad czterysta największych koncernów, dominujących nad wszystkimi dziedzinami światowej gospodarki. Są tam banki i instytucje doradcze, potentaci mediów i masowej rozrywki, jest GAFAM, cały Big Tech, Big Pharma i wszystko w ogóle, co „big”. Łącznie – biliony dolarów rocznego obrotu w samych tylko USA, dziesiątki tysięcy zatrudnianych pracowników, wpływy nieporównywalne z możliwościami większości państw. Nie jest to altruizm, ale bardzo opłacalna inwestycja. Sponsorzy rewolucji mogą dzięki niej w pogoni za maksymalizacją zysku zmuszać do niewolniczej pracy w upadających warunkach kolorowe dzieci, zatruwać środowisko, „uberyzować”, z błogosławieństwem zlobbowanych polityków, rynki pracy w krajach zachodnich, mając pewność, że nikt im za to nie powie złego słowa tak długo, jak długo będą raz do roku wpuszczać swoje logo w tęczę i posyłać pracowników na „paradę dumy”.

Nasuwa mi się tu historyczne podobieństwo do sposobu, w jaki niemiecki, kajzerowski wywiad „strollował”

na swoją korzyść demokratyczną rewolucję w Rosji, wysyłając tam i zaopatrując w złoto grupę skrajnych radykałów Lenina. Rosyjscy socjaldemokraci, jak każda rewolucja przed nimi i po nich, byli przygotowani do walki z zastanym reżimem, ale wobec radykałów przychodzących z „ich” strony – całkowicie bezbronni. Dzięki zasadzie „nie ma wroga na lewicy” nieliczni, ale pozbawieni wszelkich zahamowań i zasobni w niemieckie złoto bolszewicy w krótkim czasie całkowicie zmienili kierunek rewolucji. W analogiczny sposób czynią to dziś radykałowie, hojnie finansowani przez miliarderów. Przy czym korporacyjni magnaci unikają błędu niemieckiego wywiadu, który zadowolił się obezwładnieniem Rosji i po podpisaniu przez bolszewików korzystnego dla Niemiec traktatu pokojowego zostawił ich w spokoju; ci zaś natychmiast użyli kajzerowskiego złota do wywołania rewolucji komunistycznej w Niemczech. Natomiast współczesny mechanizm sponsoringu lewicy produkuje na niej wciąż nowych radykałów, których coraz bardziej szalone akcje w imię kolejnych „krytycznych teorii tego i owego” zapobiegają skierowaniu społecznej energii w stronę potencjalnie dla władców świata niebezpieczną, przeciwnie, pozwalają jej użyć do korzystnej dla nich destrukcji istniejących norm.

Sposób, w jaki się ta destrukcja dokonuje, jest również zupełnie nowy, odmienny od stosowanego przez dawnych tyranów i znacznie skuteczniejszy. Tyrani posługujący się przemocą zagrażające im wolności obywatelskie i prawa ludzkie po prostu brutalnie swoim poddanym odbierali. Oligarchia biznesu natomiast, można to tak ująć, świadomie niszczy rynek praw człowieka i obywatela, zalewając go podróbkami.

Weźmy na przykład prawo tak fundamentalne i oczywiste jak wolność słowa. Nikt nam go nie odmawia wprost, ale zaferowano nam szereg dodatkowych praw – na przykład prawo do niebycia obrażanym albo prawo do bycia chronionym jako mniejszościowa, a więc „niedoreprezentowana” grupa społeczna. To sprawia, że każde słowo, które wypowiemy, może zostać ocenzurowane, bo zawsze może znaleźć się ktoś, kto poczuje się nim obrażony. W istocie więc mimo formalnie nadal istniejącej wolności słowa nie ma jej, gdyż ten, kto posiada narzędzia do cenzurowania debaty publicznej, może dowolnie uznawać pretensje jednych urażonych czyjąś wypowiedzią, a innych ignorować.

Doskonałym przykładem służy tu, raz jeszcze, poradzenie sobie przez nowych tyranów z feministkami. Te, podobnie jak w rewolucyjnej Rosji Kiereński nie dostrzegł zagrożenia ze strony bolszewików, nie uznały nowych, bardziej radykalnych ruchów i ich idei za zagrożenie, ale za wzmocnienie. Symbolem skutków ich sojuszu z LGBTQ+ niech będzie odpowiedź, jakiej w 2019 roku udzielił arcypostępowy rząd Kanady na feministyczne postulaty: „Nie jesteśmy w stanie zrealizować postulatów dotyczących praw kobiet, ponieważ nie jesteśmy w stanie zdefiniować prawnie pojęcia »kobieta«”.

Bez trudu można sobie wyobrazić analogiczną sytuację w odniesieniu do praw człowieka jako takich. Wystarczy, żeby porównywalne sumy jak w ruchy seksualnych odmieńców i „krytyczne teorie” patronujących im akademików zainwestował świat wielkiego biznesu w ideologię „praw zwierząt” wywiedzioną z tez Petera Singera, na przykład upowszechniając przekonanie, że podobnie jak płeć – „fluid gender” – tak i człowieczeństwo jest

kwestią płynną, a nie zerojedynkową. Wystarczy w tym celu utożsamić człowieczeństwo z inteligencją – każdy właściciel psa potwierdzi, że wykazuje on czasem większą inteligencję niż małe dziecko. Można do tego dodać, że i pewne wybory człowieka dorosłego – na przykład negacjonistyczna postawa względem dogmatów „stwierzonych naukowo” – mogą oznaczać, iż jego stopień inteligencji, a więc człowieczeństwa, jest niższy niż w przypadku innych. Jeśli płęć może być stanem płynnym, może nim być również człowieczeństwo, tym samym zaś prawa człowieka mogą przysługiwać ludziom i „istotom nieludzkim” tylko w określonym procencie. Albo nie przysługiwać w praktyce nikomu, z uwagi na niemożność sformułowania prawnej definicji człowieka.

Jeśli wydaje się to Państwu fantastyką, są Państwo w błędzie. Jesteśmy na tej drodze i wobec nowego rodzaju tyranii, tyranii, która nie zniewala przemocą, ale wykupuje albo za pomocą dumpingu i podróbek doprowadza do kontrolowanego bankructwa i przejmuje, jesteśmy bezradni. Głównie dlatego, że opinia publiczna mechanizmu nowego zagrożenia jeszcze nie odczytuje i sobie nie uświadamia.

31 marca 2023

EURORASIZM

Problem z Unią Europejską to nie jest problem samochodów spalinowych, kotłów gazowych czy pomp ciepła, nie jest to, innymi słowy, problem z jedną, drugą czy piątą idiotyczną eurodyrektywą albo z rozumieniem kryteriów „praworządności”. To są tylko konkretne, coraz to nowe manifestacje problemu znacznie większego, zasadniczego. Problem z Unią Europejską ma charakter całościowy i polega na tym, że jest ona czymś, czym być nie miała, ale stała się mocą oczekiwań środowisk, które rozdają w niej karty. I jako Polska nie możemy nic na to poradzić, nie mamy możliwości Unii zmienić ani wepchnąć na powrót w traktatowe koleiny. Musimy przyjąć do wiadomości, że jest, jak jest, a nie jak chcemy, żeby było, i jak nam obiecano, i dostosować swoje postępowanie do rzeczywistości.

W konfrontacji z unijną rzeczywistością wraca po raz kolejny nieprzepracowany od wieków problem

skłonności Polaków do „chciejstwa” i „życia ułatwionego”. Jeśliby całą polską myśl polityczną, cały dorobek publicystyczny skoncentrować do samej istności, ścisnąć do jednego zdania, to to zdanie brzmiałoby: Polacy są chronicznie niedojrzali. Diagnoza ta łączy Piłsudskiego z Dmowskim, Gombrowicza z Żeromskim, Brzozowskiego z Mochackim i kogo chcecie z kim chcecie. I jest, niestety, wciąż aktualna. Cechą niedojrzałości jest bujanie w obłokach, idealizm, naiwność. Proces dorastania, zwykle bolesny, polega na wyciąganiu wniosków z otrzymanych cięgow i uświadamianiu sobie, że świat jest inny, niżbyśmy chcieli. W życiu prywatnym zazwyczaj wystarczy do tego kilka solidnych kopniaków od losu; dlaczego zatem w życiu społecznym okazujemy się jako naród odporni na każdą lekcję, nawet na doświadczenia tak straszne jak rozbiory, przegrane powstania, hekatomba drugiej wojny światowej, półwiecze sowietyzacji? Nie wiem i tutaj nawet nie będę próbował tego wyjaśnić.

Fakt jest faktem, że wystarczy, aby zaczynało się Polakom wieść choć odrobinę lepiej, zaraz popadają w – jak to kiedyś nazwał Jarosław Kaczyński, choć co innego miał na myśli – „stan silnej rozkoszy”. Było, jak było, ale teraz jest już super (czy też, jak mówiło się za sanacji: „byczo”) i odtąd może być już tylko coraz bardziej super („byczo”). Przed wojną to „byczo jest” polegało na tym, że staliśmy się mocarstwem. Nasza kawaleria nie ma sobie równych, cała nasza armia, przepojona „duchem zaczepnym” i mająca genialnego wodza, jest potęgą, przywykłą zwyciężać przeciwników liczniejszych i lepiej uzbrojonych (tak dosłownie klarował to Beck Niemcom, sądząc, że się wystraszą – a jeśli się nie wystraszą, to trudno, spuścimy im bęcki), tylko patrzeć,

a zaczniemy zdobywać kolonie i zaprowadzać polskie porządki na wschodzie, po nieuchronnie nadchodzącym zawaleniu się gnijących i słabych Sowietów. Zapewniam Państwa – kto nie spędził długich godzin nad lekturą tekstów z epoki, nie wyobraża sobie nawet, do jakiego stopnia ówcześni Polacy wierzyli w tę świetlaną wizję nadchodzącej przyszłości.

W porównaniu z nimi nasze dzisiejsze rozkosze wydają się skromne. Nie marzymy już o żadnej potędze, żadnej suwerenności – jesteśmy tylko (tak statystycznie jako Polacy, mówię o badaniach opinii publicznej, bo konkretnie: ani Państwo, którzy to czytają, ani ja nie jesteśmy) bezbrzeżnie szczęśliwi, że znaleźliśmy sobie patrona: Unię Europejską. Unię, która nas nakarmi, odzieje, rozwiąże nasze wszystkie problemy i zapewni ciepły zapiecek, niewiele w zamian wymagając. Jest super.

Do 80 procent Polaków wciąż nie dociera, że jeśli w tej naiwnej wizji była bodaj odrobina prawdy – to ostatnie lata wszystko zmieniły. To znaczy może nie zmieniło się zasadnicze podejście do naszego kraju: nadal jesteśmy przez Zachód postrzegani jako ludzie niedorobieni, zapóźnieni, słowem, niepełnowartościowi. Tyle że jeśli nawet u zarania projektu nasza pośledniość była dla Zachodu powodem, żeby się biednymi ofiarami losu zaopiekować – dziś jest zachętą, żeby je, z przeproszeniem, dymać.

Jest na YouTube taki film, wspominałem o nim kilka razy w różnych miejscach, wspomnę raz jeszcze: dokument o konferencji berlińskiej 1884–1885 (proszę wpisać w wyszukiwarkę: „podział Afryki”). Sporą jego część stanowi inscenizacja obrad, podczas której odtwarzający historycznych uczestników konferencji aktorzy powta-

rzają słowo w słowo, z zachowanych protokołów, dialogi sprzed półtora wieku. Dialogi o tym, że mieszkańcom Afryki trzeba pomóc. Zaopiekować się nimi. NAUCZYĆ ich cywilizacji.

Jak to się skończyło, wiemy. Ale niczego ta wiedza w mentalu Zachodu nie zmieniła. Jeśli w tych dialogach z konferencji u Bismarcka zmienić terminologię katolicko-konserwatywną na liberalno-postępową, to nie będą się one niczym różnić od rozmów o cywilizowaniu Polaków i uczeniu ich praworządności – jak się nie da inaczej, to kijem.

I to jest właśnie, twierdzą po latach wczytywania się w rozmaite dyrektywy i wypowiedzi różnej rangi unijnych polityków, główny i nierozwiązywalny problem z Unią Europejską. Że nigdy nie będziemy w niej uznawani za partnerów – zawsze będziemy dzikusami, których Niemcy i Francuzi mają, jak głęboko wierzą, prawo i obowiązek ucywilizować, a przy okazji, jak to było podczas cywilizowania innych dzikusów, na tym zarobić.

Kiedy dotrze to do świadomości owych 80 procent Polaków ze wspomnianych sondaży, nie wiem, ale wiem, że dotrze. Raczej szybciej niż wolniej.

1 kwietnia 2023

REWOLUCJA NA GÓRZE

Tyle się mówi o sztucznej inteligencji, kryptonimowanej jako AI, o chacie GPT i różnych jego zastosowaniach – a najważniejszego jak dotąd nikt nie napisał, mimo tak spektakularnych przykładów jak strajk scenarzystów w Hollywood.

Rzecz bowiem nie w tym, że sztuczna inteligencja przeorze współczesne społeczeństwa – to w historii nic nowego. Każda nowa technologia powoduje zmiany w życiu społecznym, niekiedy diametralne. Druk, maszyna parowa, technologie cyfrowe, szkoda miejsca na powtarzanie oczywistości. Rzecz w tym, że po raz pierwszy w dziejach nowa technologia deklasuje i czyni zbędnymi nie ludzi z niższych szczebli społecznej hierarchii, ale elity.

Kiedy wprowadzano krosna parowe, protestowali tracący zarobek tkacze; kiedy nowoczesne technologie zmieniały rolnictwo, wymierali (w sensie społecznym) małorolni. Elit natomiast nic nie dotykało. Patrzyły na

zmianę ze swoich wyżyn z obojętnością albo z dickenowskim współczuciem, ale zawsze z poczuciem bezpieczeństwa. Gwarancja: jeśli wespnieiesz się po społecznej drabinie wysoko, jak najwyżej, zdobędziesz wykształcenie, elitarny zawód, dochrapiasz się członkostwa w ekskluzywnej korporacji zawodowej, to będziesz zawsze bezpieczny, zawsze sobie poradzisz – wydawała się pewna jak dzień po nocy i jak prawa grawitacji. I była pewna.

Do teraz.

Sztuczna inteligencja po raz pierwszy w dziejach tę właśnie gwarancję unieważnia. Świat jest stawiany na głowie: dzisiejszymi luddystami (wszyscy wiedzą, ale przypomnę: chodzi o ruch bezrobotnych tkaczy, który w XIX wieku próbował fizycznie niszczyć maszyny parowe i zmechanizowane fabryki) stają się członkowie bodaj najbardziej ekskluzywnej korporacji zawodowej, jaką można sobie wyobrazić. Zostać scenarzystą w Hollywood – toż to było złapać Pana Boga za nogi! A teraz się nagle okazuje, że to nie ty złapałeś, tylko ciebie łapią, i to nie za nogi bynajmniej, choć blisko nich. Scenariusz może napisać AI – za darmo, wyjąwszy początkową inwestycję. Może też albo niebawem będzie mogła napisać ekspertyzę prawną, program komputerowy, zredagować portal, postawić diagnozę, administrować tym czy tamtym. W każdym razie pojawia się uzasadniona obawa, że będzie w stanie to zrobić, jeśli nawet nie samodzielnie, to w stopniu wystarczającym, by ludzi dotąd się tym zajmujących uczynić w połowie albo w trzech czwartych równie zbędnymi, jak zbędni stali się dwa stulecia temu luddycy.

Natomiast nie ma – i nie ma obawy, żeby była – takiej sztucznej inteligencji, która będzie umiała położyć dachówkę, obrządzić uprawy, zespawać dwa kawałki bla-

chy czy bodaj ostrzyc człowieka i ułożyć mu koafiurę. Ludzie, którzy mają te proste kwalifikacje, mogą spać spokojnie i z zainteresowaniem przyglądać się panice rozpoczynającej się wśród scenarzystów, prawników czy informatyków. Bo co im tam! Nawet jeśli zaroi się nagle na rynku pracy od bezrobotnych, będą to ludzie, których kwalifikacje, zdobywane latami, często w autentycznym trudzie i za ciężkie pieniądze, nadadzą się na przysłowiowy plaster do dupy – na pewno nie zrobią konkurencji tym, którzy mają w ręku „konkretny” fach.

Szczególnie zapalną sytuację daje to w pokoleniu wchodzącym na rynek pracy. Realizując utopijną wizję powszechnego wyższego wykształcenia, naprodukowano ponad wszelki rozsądek absolwentów z aspiracjami do lepszego życia. Nawet bez sztucznej inteligencji stało się to już problemem, bo znaczny ich odsetek to typowa, mówiąc Sołżenicynem, „obrazowanszczina” (to nieprzetłumaczalne określenie pochodzi od „obrazowanie”, czyli dyplom – należałoby powiedzieć „dyplomanci”, ale istnieje już w polszczyźnie i znaczy zupełnie co innego słowo „dyplomata”). Taki człowiek niby to został wykształcony, ale jak był głupi, tak pozostał, tylko uważa się za bógwico i oczekuje wielkich faworów, choć tak naprawdę niczego pożytecznego nie potrafi. Te tłumy dyplomowanych przygłupów już wychodzą za chodniej cywilizacji bokiem, będąc idealnym mięsem armatnim odgórnjej rewolucji „woke”. Ale upowszechnienie AI sprawi, że na margines zostaną wypchnięci także ci naprawdę mądrzy, sprawni intelektualnie i uzdolnieni. Będą rozczarowani i zawiedzeni do żywego, maksymalnie rozgoryczeni oszustwem, jakie ich dotknęło, wściekli na świat, który zostawił ich na lodzie,

i co najważniejsze, w przeciwieństwie do Sorosowych „wokeistów” będą mieli intelektualne narzędzia do przekucia swojej wściekłości w zemstę na tym świecie.

„Do czego to doprowadzi!”, jak komentowali ze zgrozą cywilizacyjne zmiany bohaterowie mojego ulubionego sitcomu „Pan wzywał, milordzie?”. Odpowiedzieć na takie pytanie jest zarazem łatwo i niełatwo. Łatwo powiedzieć: do jakiejś strasznej rozpierduchy, choć trzeba dodać: ale innej niż wszystkie dotychczasowe. Trudno natomiast przewidzieć, jak się ta inność wyrazi. Czy „wysadzeni z siodła” zdołają rozsadzić strukturę społeczną? Pod jakimi hasłami się skupią? Zapewne ich wrogiem i celem stanie się system korporacji, bo to one będą bezpośrednim egzekutorem ekonomicznych przymusów generowanych przez AI – co wydaje się perspektywą dobrą dla ludzkości, bo korporacje to dziś rak pożerający osiągnięcia cywilizacji europejskiej. Ale przecież ten żywiołowy bunt będzie rozgrywany na przeróżne sposoby. Idę o zakład, że walczące o panowanie nad światem Chiny nie przegapią tak wspaniałego narzędzia, którego totalitaryzm, z natury odporniejszy na społeczne bunty, użyć może do wysadzenia w powietrze Zachodu.

„Sowa Minerwy wylatuje o zmierzchu, nie o świcie”, jak to ujął nieco przemądrzałe Hegel. Filozofowie i, szerzej, intelektualiści potrafią zrozumieć tylko to, co już zaistniało, co dojrzało i powoli więdnie, a nie to, co dopiero nadchodzi. Ale może tym razem, dzięki zatrudnieniu sztucznych inteligencji, uda się tej prawidłowości zaprzeczyć?

19 maja 2023

DRÔLE DE GUERRE

Trzeba było dwóch lat krwawej wojny na Ukrainie, rosyjskich masowych zbrodni w Buczy, Irpieniu i dziesiątkach innych miejsc, zrównania z ziemią frontowych miast i miasteczek oraz dziesiątek tysięcy poległych żołnierzy, żeby przywódcy Unii Europejskiej i jej tak zwani liderzy opinii zauważyli zagrożenie. Ale wreszcie się ten zwrot dokonał. Przynajmniej w mediosferze: dotychczasową linię „prędzej czy później, tak czy owak, trzeba się przeciw z Rosją dogadać” zastąpiła linia nowa: „Putin, jeśli wygra na Ukrainie, to nie zatrzyma się, tylko na pewno pójdzie dalej. Europa musi być gotowa na wojnę!”.

Ktoś może powiedzieć „lepiej późno niż wcale” – ale tylko ktoś bardzo niezorientowany. Jak zwykle bowiem w UE, przepoczwarczającej się w bólach w „państwo europejskie”, wszystko wygląda dziwnie. Nagłe odkrycie, że dobry wujcio Putin jest nieobliczalny i groźny,

bynajmniej nie popycha europejskich liderów do działań, które na zdrowy rozum powinny z takiego odkrycia, jeśli jest traktowane poważnie, wyniknąć. Europa nie zwiększa produkcji amunicji, nie przestawia gospodarek krajów członkowskich na tryb wojenny, nie asygnuje funduszy na zbrojenia, nie ogłasza naboru do szkół wojskowych, o przywracaniu służby wojskowej już nawet nie wspominając. Nie zwiększa nawet wsparcia dla Ukrainy, która przecież chce walczyć, tylko nie bardzo ma czym. Poparcie dla Ukrainy wciąż wyraża się, poza intensywnym zapewnianiem jej, że jest popierana, w uporczywym umożliwianiu, kosztem producentów europejskich, szczególnie rolników, miliardowych zysków działającym na Ukrainie spółkom symbiontom miejscowych mafiosów-oligarchów z wielkimi zachodnimi koncernami, które nawet nie płacą tam podatków, oraz na obiecywaniu władzom Kijowa przyszłego członkostwa w Unii Europejskiej. Jedno i drugie na wysiłek wojenny kraju nie ma wpływu.

Zamiast tego, co robić w sytuacji zagrożenia powinna – realnego wzmocnienia siły wojskowej, zwiększenia produkcji wojennej i intensyfikowania wsparcia dla pogrążonej w ogniu Ukrainy – brukselsko-berlińska „grupa trzymająca Europę” deliberuje nad stworzeniem wspólnej europejskiej armii. Armii, która ma zastąpić NATO, bo NATO to Ameryka, a Ameryka to już niebawem Donald Trump, a Trump to Putin, więc Europa musi się od niego odciąć i „równoważyć wpływy zarówno amerykańskie, jak i chińskie”, bo zresztą po to właśnie przecież, by je równoważyć, pogłębia swoją integrację. Ale oczywiście musi je równoważyć nie byle jaką armią, tylko armią „przyjazną klimatowi”, bezemisyjną,

a tym samym wykorzystującą europejską przewagę moralną nad innymi armiami, powodującymi według wyliczeń europejskich ekspertów ponad 5 procent tej światowej emisji, co to przez nią „planeta płonie”.

Skoro prace studyjne nad formowaniem przyszłej europejskiej armii zdominowała już u zarania kwestia jej bezemisyjności, i to wrzucona od razu z najwyższego szczebla Rady Europejskiej, nietrudno się domyślić, że zaraz staną na porządku dziennym inne wyzwania. Na przykład kwestia parytetów w kadrze dowódczej. Nie tylko parytetów pomiędzy tworzącymi ją krajami, ale też zapewnienie eurowojску należytej inkluzywności i zdywersyfikowania oraz promowanie w nim chronionych mniejszości. W każdej kompanii, a może i plutonie, szczególnie w doborze kadry oficerskiej, a może i podoficerskiej, uwzględnione muszą być wszystkie płci i osoby niebinarne, a także, osobno, trans, że o tak elementarnych wymogach jak zrównoważenie orientacji seksualnych nawet nie wspomnę. Stworzenie odpowiedniego systemu parytetów jest pilniejsze nawet niż kwestia opracowania bezemisyjnego uzbrojenia. Zresztą już pierwsze przymiarki pokazały, że Niemcy i Francja, ambicje mniejszych krajów już pomijając, mają zupełnie inne oczekiwania co do kwestii, czyj przemysł ma na dostawach dla europejskiej, bezemisyjnej i inkluzywnej armii najwięcej zarobić; a „wyników ich nikt nie uzgodni, bo ileż by zajęło to dni”.

Mówiąc krótko, na razie wzmożony europejski wysiłek obronny ma się wyrazić stworzeniem stanowiska dodatkowego, europejskiego komisarza do spraw obronności, którym podobno ma szansę zostać Radosław Sikorski. Wszyscy Polacy już wiedzą, że o większego trudno

zucha, niż jest Radzio Burczymucha, to niechże i inni narodowie wżdy postronni to znają.

Jajcowanie jajcowaniem, a mówiąc poważnie: gołym okiem widać, że Scholz, Macron i brukselscy eurokraci nadal szczerze wierzą, iż prędzej czy później się z Kremlem dogadają i w nord streamach znów zaszumi gaz, a w bankach zakapią zarabiane na moskiewskich dilach pieniądze. Nagłe wojenne wzmożenie to nic więcej jak propagandowy pic, mający uzasadnić szykowany zamordyzm „w obronie demokracji”, której zagrozi śmiertelnie wygrana w wyborach do PE „populistów”, będących w sojuszu z Trumpem, czyli Putinem. Właśnie dlatego w Bukareszcie liderzy EPL tak przebierali nóżkami z zachwytu, widząc, jak sprawnie i bez oporu ich hajduk Tusk bierze za mordę Polskę, i biorąc to za bardzo obiecujący prognostyk dla swoich krajów. Putin się nie zatrzyma, prawda, a Putin to Trump, Putin to Le Pen, Orban, Meloni, AfD i Konfederacja, za to największymi wrogami Putina byli zawsze Niemcy i osobiście Scholz oraz postępową Francją Macrona – dlatego centralizacja Europy w II Rzeszę bis pod naturalnym przywództwem niemieckim, z jakimś mniej lub bardziej dekoracyjnym dzyndzlem francuskim, jest koniecznością. Dziejową koniecznością. Proste, jak to mówią we wojsku.

9 marca 2024

MIĘDZY GÓRĄ A DOŁEM, CZYLI POLACY JAKO KRÓLIKI DOŚWIADCZALNE

Po raz drugi w naszej historii najnowszej jesteśmy poletkiem doświadczalnym dla obcego mocarstwa. W latach osiemdziesiątych elity moskiewskich służb użyły Polski do przetestowania, czy da się zbankrutowany system komunistyczny przetransformować w demokratyczny kapitalizm w taki sposób, by komuniści zachowali faktyczną władzę i pozostali uprzywilejowaną, wyższą warstwą społeczną. Dziś w świetle ustaleń historyków nie można mieć co do tego wątpliwości – Jaruzelski i Kiszczyk do Okrągłego Stołu zostali popchnięci przez (jak ich w nieboszczce Partii nazywano) „Radzian”, a gdy się opierali, niedwuznacznie pokazano im, że Moskwa może się z polską „opozycją demokratyczną” dogadać sama, ponad ich głowami, z wiadomym dla nich skutkiem.

Co i kto testuje na polskich królikach doświadczalnych dzisiaj? Postawię tezę, że dla eurokratów i, najszerszej to ujmując, elit liberalnej demokracji rządu Donalda Tuska są pilotażem operacji, do której podjęcia będą niedługo zmuszone u siebie. Jak ujął to wieloletni przedstawiciel niemiecki w naszym kraju w artykule dla berlińskiej gazety: żeby naprawdę „przywrócić demokrację”, trzeba użyć metod państwa policyjnego. Po prostu – taka konieczność. Polska ma dostarczyć doświadczeń niezbędnych, by zrobić to skutecznie w Niemczech, Francji i innych krajach, jeśli i tam większość wyborców zignoruje wskazania swoich elit i zagłosuje na „populiistów” w rodzaju AfD czy Zjednoczenia Narodowego na tyle licznie, że dotychczasowa polityka izolowania ich przestanie już być możliwa.

Ratować demokrację wbrew woli większości wyborców? Zakrawa to na paranoję i być może jest paranoją – ale wielokrotnie się w historii powtarzająca. Klasyk ekonomii i socjologii Vilfredo Pareto sformułował twierdzenie, iż warunkiem, by społeczeństwo rozwijało się w sposób stabilny i zdrowy, dając wszystkim pożądane wartości, na czele z bezpieczeństwem i dostatkiem, jest „krążenie elit”. Muszą istnieć i być drożne kanały „z dołu do góry”, umożliwiające zdolnym i energicznym jednostkom z klas niższych awans do elity. Aby jednak tak było, muszą być także kanały „z góry w dół”, czyli mechanizmy degradacji tych członków klasy wyższej, którzy do zajmowanej pozycji na społecznej drabinie nie dorosli.

I z tym jest właśnie problem, bo członkowie elit nie chcą ustępować z pozycji uprzywilejowanej ani pozwalać, by tracili przywileje ich protegowani – choćby nie

wiedzieć jak bardzo niezdolni i zdeprawowani. A ponieważ to elity właśnie z zasady decydują o prawach regulujących funkcjonowanie społeczeństwa, stopniowo ustawiają je tak, by się przed degradacją ochronić.

Zablokowanie kanału „w dół” automatycznie blokuje kanał „do góry” – wybitne jednostki z klas niższych, potocznie mówiąc, nie mogą się dopchać do stanowisk, które by odpowiadały ich ambicjom i zdolnościom, bo te okupowane są przez krewnych i znajomych klasy rządzącej (jak to ujmowano w sowieckim dowcipie ze schyłkowych czasów Andropowa i Czernienki: czy syn generała może u nas zostać marszałkiem? Nie, bo marszałek też ma syna). Siłą rzeczy wykorzystują więc swoje zdolności i energię do rozbijania blokującego ich systemu, stając na czele każdego odruchu niezadowolenia. A ponieważ wzrostowi kumulującej się „na dole” energii kierującej się przeciwko systemowi towarzyszy kosztowne i jałowe żądanie ze zdolności klasy wyższej, ostateczny efekt jest analogiczny, jak gdyby próbowano się na siłę utrzymać pod pokrywką parę w garnku z wrzątkiem.

Ostatni raz widzieliśmy ten proces w wiekach XVIII i XIX. Arystokracja francuska nie przyjmowała narastającego w garnku ciśnienia do wiadomości, wskutek czego poszła w większości pod gilotynę; brytyjska, nauczona jej przykładem, umiała cofać się i oddawać pole powoli, czego najlepszym probierzem była ewolucyjna wymiana znaczeniowa w państwie Izby Lordów z Izbą Gmin.

Ten proces odsuwania skostniałej elity arystokratycznej przez nową, liberalno-demokratyczną, wywodzącą się głównie z burżuazji, zyskującej na znaczeniu dzięki rewolucji przemysłowej, opisuje klasyczna powieść Giuseppe di Lampedusa „Lampart”, znana wszystkim

głównie dzięki zasadzie wygłoszonej w niej przez głównego bohatera, księcia Salinę: żeby wszystko mogło pozostać po staremu, trzeba wszystko zmienić. Tą właśnie zasadą kierowały się elity sowieckich służb specjalnych, które jak wspomniałem na wstępie, eksperymentowały na Polsce w latach osiemdziesiątych – bez wątpienia dlatego, że w przeciwieństwie do partyjnej nomenklatury i armii do samego końca ZSRS pozostawały one drożną drogą awansu, czego najlepszym dowodem jest kariera ulicznego żulika Wołodii Putina.

Zbiurokratyzowane i wyjąłowane intelektualnie elity Unii Europejskiej i, szerzej, zachodniej demokracji liberalnej, działając w analogicznej sytuacji, w analogicznym przecuciu zbliżającego się wybuchu zablokowanej w społeczeństwie energii, zachowują się jednak bardziej w stylu prawdziwych, nie powieściowych elit arystokratycznych z poprzednich wieków: wierzą, że wszystko może pozostać po staremu, że są w stanie po prostu zapobiec zmianie, powstrzymując współczesnych „jakobinów”, „anarchistów” i „bolszewików” siłą (piszę w cudzysłowach, bo odwołuję się nie do właściwych znaczeń tych słów, ale do tego, jak funkcjonowały one w dyskursie owej zakwestionowanej w wieku XIX elity). Na czym tę nadzieję opierają, wyjaśnię za chwilę.

Najpierw trzeba jednak jasno i wyraźnie powiedzieć sobie, że podstawowym kryzysem w tej kumulacji kryzysów, z jaką boryka się zachodnia liberalna demokracja, i zarazem przyczyną wielu innych („matką wszystkich kryzysów”, jak by to ujął nieboszczyk Saddam Husajn) jest kryzys jej samej. Kryzys polegający na tym, że demokracji zachodniej znowu „Pareto nie działa”, i to już od ładnych paru dziesięcioleci.

To proste stwierdzenie wywołuje, jak zdołałem się już wielokrotnie przekonać, szok i oburzenie, podważa bowiem legitymację obecnych elit liberalno-demokratycznych w podobnym stopniu, w jakim hasła jakobi-
nów podważały nadprzyrodzoną wyższość monarchy i jego dworu. Jeśli bowiem wszyscy od lat zgadzamy się z przypisywaną Winstonowi Churchillowi maksymą, że demokracja jest przy wszystkich swych licznych wadach najlepszym ustrojem, jaki ludzkość wymyśliła, to decyduje o tym ugruntowane przekonanie, że właśnie ona zapewniła wreszcie możliwość zmiany elity rządzącej w sposób pokojowy, bez wstrząsów rewolucji i utraty stabilności. Zapewniają to mechanizmy wyborcze, prawa obywatela na czele z wolnością słowa i zgromadzeń, niezależność władzy sądowniczej oraz „czwarta władza”: wolne media, za pomocą których społeczeństwo kontroluje poczynania klasy rządzącej.

Po licznych konwulsjach (najkrócej: rewolucja – restauracja monarchii i Święte Przymierze trzech cesarzy – Wiosna Ludów) nowa elita, demokratyczna, ugruntowała w końcu swoją dominację, opartą na sile opinii publicznej i wyrażających ją mediów – osobiście jako symboliczny moment dla Europy wskazałbym tu wygraną przez liberałów sprawę Dreyfusa. I od tego czasu mimo kolejnych wstrząsów utwierdzała się ona w przekonaniu, że ustrój, który stworzyła i ostatecznie nazwała „liberalną demokracją”, połączenie republikańskich mechanizmów politycznych z wolnym rynkiem, to perpetuum mobile, wytwarzające nieustannie dostatek i bezpieczeństwo, ustrój do tego stopnia najlepszy, że już się go poprawić nie da – czemu wyraz najpełniejszy dał w książce o budzącym dziś rozbawienie tytule „Koniec historii” Francis Fukuyama.

Niestety, klasa rządząca tej liberalnej demokracji utwierdzała się też w przekonaniu, że tylko ona jedna jedyna wie, jak to perpetuum mobile obsługiwać. W tym przekonaniu, że stanowi zamknięte grono ludzi oświeconych, jedynie uprawnionych do rządzenia światem, zaczęła przypominać historyczne elity arystokratyczne, które niegdyś pokonała – paskudnie zapisany w naszej pamięci król Prus Fryderyk, przez Niemców nazywany Wielkim, pisał w prywatnych listach do Voltaire’a i w powszechnie chwalonym przez paryskich filozofów traktacie o władzy, że władca ma wręcz moralny obowiązek nie zważać na opinie poddanych, dla ich własnego dobra. Ten obowiązek definiował jako „zwalczanie ignorancji i przesądów, krzewienie dobrych obyczajów i czynienie ludzi na tyle szczęśliwymi, na ile to możliwe”. Co jest przesądem, co dobrym obyczajem i co uczyni rządzących szczęśliwymi, decydował oczywiście on sam, ewentualnie w porozumieniu z równie jak on oświeconymi filozofami w typie jego sławnego przyjaciela.

Szczerze: ilu współczesnych liderów politycznych, liberalnych intelektualistów i dysponentów mediów podpisałoby się pod takim rozumieniem swojej roli, zwłaszcza jeśli nie mówić im, skąd cytowane słowa pochodzą? A przecież w teorii, o czym zapewniliby nas równie gorąco, są oni tylko sługami „demosu”, pilnującymi procedur, w których suweren ten sam rozstrzyga, czego chce i co dla niego dobre.

Zacznijmy to wreszcie zauważać: przyczyną kryzysu demokracji liberalnej nie są jakobini, anarchiści i bolszewicy, dzisiaj nazywani „populistami”, o których krzyczą lewicowo-liberalne salony, ubliżając im żarliwie od „suprematystów”, „nacionalistów” i „faszystów”. Oni

są jego przejawem. Przyczyną są natomiast właśnie jej własne elity, które zreprodukowały mental dawnych klas uprzywilejowanych, skopiowały ich przekonania i odwróciły sens znaczeń – zwykłem tę „nową arystokrację” nazywać „liberalistokracją”. Demokracja nie jest już dla nich rządami „demosu”, jakkolwiek ten demos nazywać, klasą średnią, ludem czy jeszcze inaczej. Demokracja to rządy demokratów. A kto to są demokraci? To ci, którzy rządzą demokracją – no proste.

Różnica między demokracją a współczesną „demokracją liberalną” zasadza się na jednym „drobiazgu”: do grona „demokratów”, i w ogóle do klasy wyższej, nie można ot tak sobie wejść, trzeba zostać do niej zaproszonym, zaakceptowanym przez kręgi oświecone i uprawnione do rządzenia. Samo wygranie wyborów nie wystarcza, aby być władzą „demokratyczną”. Tacy, którzy wygrywają wybory, nie mając na to zgody oświeconych, i mimo braku tej koncesji usiłują rządzić, to jak już wspomniałem, „populiści”, zagrożenie dla demokracji, przed którym trzeba ją obronić. Coraz bardziej oswajają się przy tym liberalistokraci z myślą, że dla dokonania tego wielkiego dzieła „konieczne” może być sięgnięcie po „metody państwa policyjnego”.

Swoje nadzieje opierają unijne elity na tym, że w przeciwieństwie do poprzednich „klas wyższych”, okupujących czubek społecznej hierarchii, dysponują szeregiem nowych technologii sprawowania władzy za pomocą „miękkiej siły”. Zdołały zastąpić „rządy prawa” „rządami prawników”, coraz chętniej – jak pokazuje orzecznictwo TSUE czy za oceanem nękanie kolejnymi wyrokami Donalda Trumpa – kierujących się nie prawem, ale interesami kasty rządzącej. Wolność

słowa ograniczyły cenzurowaniem „mowy nienawiści”. Równoległe analogicznej erozji co wolność polityczną poddały wolny rynek – zwycięskie na nim wielkie koncerny stworzyły gospodarczy oligopol, w którym coraz bardziej surowe regulacje motywowane „koniecznością” zapewnienia „inkluzywności” czy „ratowania planety” chronią je przed konkurencją, wysadzają w powietrze prawa konsumenckie i pozwalają zmieniać działalność gospodarczą coraz bardziej w bezlitosne łupienie bezbronnych wobec tych praktyk konsumentów. Oczywiście policyjne pały i inne „tradycyjne” środki mają wciąż jakiś udział w tym „miksie” narzędzi władzy, ale większość stanowią w nim na ten moment różne rodzaje „miękkiej” przemocy, symbolicznej, medialnej, finansowej. Do polityki przeniesione zostały wypracowane przez biznes mechanizmy „wrogiego przejęcia”, czego modelem przykładem jest przejęcie lewicy w drodze jej obfitego subsydiowania przez wielkie korporacje. Prawa obywatelskie też nauczyła się liberalistokracja odbierać sprytniej, nie wprost, ale przez ich rozcieńczanie w tworzonych licznie kolejnych „prawach”, takich jak „prawo do bycia niekrytykowanym”, które w praktyce likwiduje wolność słowa. Doskonałą ilustracją tego mechanizmu stanowi historia z Kanady, gdy na postulaty organizacji feministycznych rządzący odpowiedzieli: jesteśmy za prawami kobiet, ale nie możemy ich realizować, ponieważ nie ma zgody ani prawnej definicji, kto jest, a kto nie jest kobietą.

Podstawy przewagi rządzących nad rządzonymi wydają się więc solidne. Ale zawsze się tak wydaje. „Populiści” tu i tam sięgnęli po władzę, ale też tu i tam – w Polsce na przykład – dzięki zastosowaniu powyżej

wymienionych narzędzi udało się ją dla „demokratów” odzyskać. Jak ją jednak utrwalić, jak obezwładnić społeczeństwo mimo wzbierającego w zablokowanych „dołach” ciśnienia? To bardzo ważne dla zachodnioeuropejskich elit pytanie, na które Tusk ma dać odpowiedź. Z tego punktu widzenia płynące z mediów i kręgów lewicowo-liberalnych zapewnienia, że „Polska Tuska jest natchnieniem i wzorem dla całej Europy”, nie brzmią wcale groteskowo, tylko zupełnie poważnie. A nawet – wręcz ponuro.

20 marca 2024

ZBRODNIA JAKO „EGZYSTENCJALNA KONIECZNOŚĆ”

Przebieg rozstrzelania z wojskowych dronów wolontariuszy World Central Kitchen w Strefie Gazy, ujawniony przez izraelską gazetę „Haaretz”, wskazuje, że mieliśmy do czynienia nie z wypadkiem, ale ze świadomą egzekucją. Potwierdzają to inne przesłanki, które zarazem każą odrzucić hipotezę o niesubordynacji lub nadgorliwości któregoś z dowódców niskiego szczebla. Wygląda na to, że decyzję o trzykrotnie ponowionym ostrzelaniu wyraźnie oznakowanych i poruszających się trasą uzgodnioną z izraelskim dowództwem pojazdów konwoju charytatywnego podjęto na wysokim szczeblu w imię skuteczności prowadzonej przez Izrael zbrodniczymi metodami pacyfikacji Gazy. Spektakularnie zadana śmierć wolontariuszy dowożących żywność głodującym mieszkańcom Gazy oraz demonstracyjna bezkarność dla tej

zbrodni miały wywołać „efekt mrożący” – i pod tym względem Izrael odniósł sukces. Zarówno WCK, jak i inne organizacje starające się ratować ofiary dokonywanej przez rząd Binjamina Netanjahu „czystki etnicznej” wycofały swoich wolontariuszy z Gazy, co zwiększa skuteczność prowadzonych tam działań i w jeszcze większym stopniu rozwiązuje Bibiemu ręce w eskalowaniu bezprawia.

A izraelski premier bardzo tego potrzebuje, gdyż poparcie dla jego gabinetu i sposobu prowadzenia wojny z Hamasem załamuje się. Atak na konwój z żywnością dla głodujących Palestyńczyków nastąpił kilka dni po masowych protestach w Jerozolimie i Tel Awiwie, słabo odnotowanych przez nasze media z uwagi na Święta Wielkanocne, a przypominających rozmiarami manifestacje sprzed pół roku. Wtedy protesty wywołane projektem ustawy pozwalającej większości parlamentarnej uchylać orzeczenia sądowe – powszechnie odebranej jako próba obronienia się przez premiera przed spodziewanym wyrokiem za korupcję – zamarły po napaści Hamasu. Jednak udzielony przez społeczeństwo kredyt zaufania wyczerpuje się już. W badaniu poprzedzającym o kilka dni wspomniane demonstracje na pytanie, jak respondenci oceniają działania Netanjahu w wojnie z Hamasem, opcję „dobrze” i „raczej dobrze” wybrało tylko 28 procent, podczas gdy „źle” i „raczej źle” – 57 procent. Inne sondaże pokazują od pewnego czasu, że gdyby w najbliższym czasie odbyły się wybory, koalicja, której przewodzi, zostałaby odsunięta od władzy.

Kto śledził karierę najdłużej urzędującego i najczęściej powracającego po przegranej do władzy premiera w dziejach Izraela, nie może mieć wątpliwości, że dla

Binamina Netanjahu nie jest to powód, by odstąpić od wyznaczonej sobie drogi. Wszystko, co dzieje się w ostatnich miesiącach, potwierdza zaś, że jego zamiary są dokładnie takie, jak odczytywałem je w felietonie „Zbrodniczy hazard Izraela”. Bibi zamierza przejść do historii jako ten polityk, który – z demokratycznym mandatem czy bez niego, historia nie sądzi zwycięzców – dokona „ostatecznego rozwiązania” problemu Palestyńczyków na należącej się Żydom ziemi oraz ugruntuje istnienie państwa żydowskiego. Państwu temu zagrażają zaś dwa procesy. Pierwszym z nich jest wyludnianie się kraju – Żydzi osiadli w innych państwach nie chcą ich porzucać i przenosić się na Bliski Wschód, bo tam, gdzie są, nie jest im źle, a w Izraelu byłiby stale zagrożeni przez arabskich terrorystów. Rozwiązanie tego drugiego problemu będzie więc zarazem rozwiązaniem pierwszego i odwrotnie: zemsta, jaka spadnie za wypędzenie na Żydów w krajach Zachodu, coraz bardziej bezradnych wobec agresywnych migrantów, będzie w rachubach syjonistów zmuszać tamtejszych Żydów do przenoszenia się coraz liczniej pod opiekuńcze skrzydła armii i służb państwa żydowskiego.

Całkowite usunięcie z Izraela ludności palestyńskiej i zastąpienie jej Żydami z całego świata to zatem w optyce syjonistów, która pod rządami Netanjahu i jego partii Likud zdominowała wszystkie posunięcia państwa, jedyny możliwy sposób, by ocalić istnienie Izraela w dłuższej perspektywie. Opcji alternatywnej – trwałego porozumienia narodów – symbolizowanej przez Icchaka Rabina, który właśnie za głoszenie tej wizji został zamordowany przez syjonistycznego fanatyka, rządzący dziś Izraelem w ogóle nie biorą pod uwagę,

a nawet przeciwnie, uważają takie pięknoduchostwo za egzystencjalne zagrożenie dla Żydów. Syjonistyczni przywódcy i ich media uważają za pewnik, że wszelkie ustępstwa wobec Palestyńczyków i otaczającego Izrael świata arabskiego wieść muszą do eskalacji wrogich żądań, a tym samym – do likwidacji państwa Izrael, które w przekonaniu syjonistów jest jedyną gwarancją dla Żydów, że prześladowania, jakie nękały ich przez całą historię, oraz zbrodnia Holocaustu nie powtórzą się więcej. Jeśli natomiast zabraknie Izraela, kolejny Shoah będzie już tylko kwestią czasu.

Zbrodnia, jak zwykle to bywało w dziejach, jawi się w świetle takich założeń jako logiczna konieczność, wręcz obowiązek, który dla dobra narodu musi wziąć na siebie świadomy rządzących światem przywódca. Żeby Holocaust się nie powtórzył, Palestyńczycy muszą opuścić Strefę Gazy i zachodni brzeg Jordanu – a żeby opuścili, trzeba jedyną alternatywą dla nich uczynić cierpienie i śmierć. Kto tę konieczność kwestionuje, jest antysemitą albo głupcem. A jeśli kwestionujący konieczność wielkiej czystki etnicznej należy do grona polityków Zachodu, dodatkowo jeszcze – hipokrytą. Nikt przecież, na co często powołują się syjoniści, nie kwestionuje podstawy obecnego układu sił w Europie i na świecie, układu jałtańskiego, i konieczności przedsięwzięcia ze swoich małych ojczyzn milionowych mas ludzkich, jaką w nim uznano.

Odkąd syjonizm zaistniał jako ruch polityczny, celem, który sobie stawiał, było wychowanie „nowego typu” Żyda. Była to zresztą wspólna cecha wszystkich nacjonalizmów wyrosłych z Wiosny Ludów, także nasz Dmowski i jego współpracownicy miotali gromy na skrety-

niały i skarłowaciały mental szlacheckiego zaścianka, postulując Polaka nowego, przedsiębiorczego i zorganizowanego. Podobnie było w wizji Theodora Herzla. Zeświecczeni Żydzi wraz z chałatami i pejsami mieli porzucić dotychczasowe życie na marginesie innych narodów, jako wieczni pośrednicy, handlarze i dostawcy kredytu, a stać się narodem rolników, robotników i przedsiębiorców, kolonizującym pustynie Izraela i zmieniającym je w nowoczesne, dostatnie państwo. Realizacja syjonistycznych wizji nastąpiła jednak po wielkiej zbrodni Hitlera, która im bardziej stawała się, jako „religia Holocaustu”, podstawą budowania świeckiej żydowskiej tożsamości, tym bardziej wykoślawiała wizerunek „Żyda pracowitego” w „Żyda bezwzględneho”, wyliczonego doznany cierpieniem z moralnych złudzeń i zdecydowanego zawsze „wstać i uderzyć jako pierwszy”.

Zachód nie umiał zachować się wobec Żydów po traumie Holocaustu mądrze. Przez pierwsze dwa dziesięciolecia po wojnie nikt w ogóle nie chciał o tej zbrodni wiedzieć, a opowiadającego o komorach gazowych Szymona Wiesenthala, jak wspominał on sam, traktowały amerykańskie i zachodnioeuropejskie salony jak nasze nie przymierzając Ewę Stankiewicz przypominającą o Smoleńsku. Potem rzucono się w skrajność przeciwną, z tą samą anglosaską skłonnością do miotania się od jednej ściany do drugiej, z jaką na przykład po latach traktowania homoseksualistów jak ludzi drugiej kategorii, zaszczuwania ich i wsadzania do więzień zaczęły kraje zachodnie stawiać „osoby LGBT” ponad prawem i cenzurować oraz represjonować wszelką ich krytykę. Holocaust, wprowadzony przez Hollywood w samo centrum kultury popularnej i wyjęty przez uniwersytety

spod naukowych reguł historiografii (czego bolesnym dla nas przykładem są „badania” polskiej „nowej szkoły historyków Holocaustu”, z Grossem, Grabowskim i Engelking na czele, podnoszące do rangi źródeł historycznych najbardziej wątpliwe relacje z trzeciej ręki, a nawet opowiadane przez wnuczkę sny babci), stał się argumentem za całkowitym wyjęciem Żydów spod jakiegokolwiek krytyki i zwolnieniem ich z odpowiedzialności za czyny, które popełniane przez kogokolwiek innego spotkałyby się z najsurowszym potępieniem.

Bandyckie poczynania izraelskiego rządu wobec nieżydowskiej ludności tego kraju, bezczelność międzynarodowych organizacji w wymuszaniu haraczy „za Holocaust” czy obserwowana na każdym kroku buta i poczucie wyższości w zachowaniu, które przebijają nawet opisane w starych pamiętnikach zachowania pruskich junkrów, a których liczne przykłady daje od dawna Ja’akow Liwne i jego poprzednicy w warszawskiej ambasadzie – to wszystko rezultaty wychowania kolejnych pokoleń Żydów w tej posuniętej do absurdu politycznej poprawności. Na którą, dodajmy, w samym Izraelu nakłada się pranie mózgow młodzieży, świetnie pokazane i udokumentowane w filmie Jo’awa Szamira „Dezinformacja”. Z jednej strony budowanie paranoicznego poczucia, że cały świat jest winny wobec Żydów, cały świat ich nienawidzi, knuje przeciwko nim i tylko czeka na możliwość ponowienia zbrodni Shoah, z drugiej zaś – usuwanie w tym poczuciu moralnych hamulców przed mordowaniem bezbronnych, nawet kobiet i dzieci, jeśli tak każe jedyny strażnik Żydów na tym świecie: rząd Izraela i dowództwo jego armii. Istotnym wątkiem wspomnianych wyżej niedawnych protestów przeciw-

ko Netanjahu jest udział w nich ruchu matek żołnierzy, podnoszących szkody psychiczne, jakie edukacyjna polityka syjonistów poczyniła ich synom i córkom.

Jednak opozycja przeciwko twardej syjonistycznej linii narzuconej Izraelowi przez Netanjahu i konkurujących z nim szowinistów z mniejszych, jeszcze bardziej radykalnych partii od lat przegrywa. Trudno to wytłumaczyć inaczej niż źle pojętym poczuciem narodowej solidarności, jakie wytworzyły w żydowskim mentalu doznawane przez pokolenia prześladowania i dyskryminacja. Netanjahu może być krytykowany przez innych Żydów, ale tylko na wewnętrznym forum – nazywanie jednak po imieniu zła, które wyrządza, bez czego wygrać z tym złem nie można, ale co mogłoby być natychmiast podchwyczone przez świat zewnętrzny, jest odbierane w środowiskach żydowskich jako zdrada i zbrodnia przeciwko własnej nacji. Nieliczni sprawiedliwi, którzy rozumieją swoje żydowskie obowiązki inaczej – jak sędziwy profesor Norman Finkelstein, który jako jeden z pierwszych jasno nazwał ostrzelanie konwoju WCK zbrodnią wojenną – otaczani są przez rodaków murem niechęci i ostracyzmu.

Według Jamiego McGoldricka, koordynatora ONZ do spraw humanitarnych na okupowanych terytoriach palestyńskich, cytowanego przez portal „Times of Israel”, od 7 października ubiegłego roku, czyli ataku Hamasu i porwania zakładników (z których ponad stu, jeśli jeszcze żyją, wciąż jest w rękach terrorystów) oraz uruchomienia zbrojnej zemsty Izraela, w Gazie zginęło co najmniej sto dziewięćdziesiąt sześć osób zaangażowanych w niesienie tamtejszym mieszkańcom pomocy humanitarnej. Najnowszy incydent – o którym McGoldrick

mówi otwarcie, że „na pewno nie był błędem ani przypadkiem” – podnosi tę liczbę do ponad dwustu. Ponieważ do tej pory szczęśliwie nie było wśród nich naszych rodaków, mało kto w Polsce zdaje sobie z tego sprawę. Tymczasem żołnierze izraelscy według licznych relacji strzelają do misji humanitarnych, podobnie jak do korespondentów wojennych z innych niż własny krajów, bez żadnych zahamowań. Potem odbywają się wiele razy przeciwiczone manewry medialne, które Polacy obserwują teraz po raz pierwszy tak uważnie, rozmyślając sprawę – błąd, przypadkowe ofiary usprawiedliwionego ataku na instalacje Hamasu (który w istocie chętnie używa kogo tylko może w roli żywych tarcz), „takie rzeczy na wojnie się zdarzają” (tak sam Netanjahu skomentował zbrodnię na Polaku i jego towarzyszach), wyrazy ubolewania, ale nigdy z użyciem słowa „przepraszamy”, obietnice „głębokiego zbadania okoliczności zdarzenia” i w konkluzji: bronimy przed islamskim terroryzmem nie tylko siebie, ale całego Zachodu, i oczekujemy bezwarunkowego wsparcia w tej walce, a nie humanitarnego dzielenia włosa na czworo. „Efekt mrozący” tymczasem narasta, chętnych do pomagania mieszkańcom Gazy jest coraz mniej.

Każda zbrodnia staje się usprawiedliwiona, jeśli alternatywą dla jej popełnienia jest dopuszczenie do powtórki z Shoah. A uznanie nieuchronności wielkiej czystki etnicznej, na wzór przesiedleń pojałtańskich, zmienia pojęcie dobra i zła. Wolontariusze w rodzaju świętej pamięci Damiana Sobola stają się w tej zbrodniczej logice szkodnikami, którzy swoją niewczesną pomocą w sumie potęgują cierpienia ofiar, bo łagodząc skuteczność ich głodzenia, pozbawiania dostępu do

wody i innych szykan, oddalają tylko moment, w którym mieszkańcy Gazy pogodzą się z tym, co nieuchronne. A świat zachodni? W gruncie rzeczy już się pogodził, chciałby tylko zachować pozory. Ale jeśli nie zostaną one zachowane, łatwo wyleczy swoje sumienie jakimiś symbolicznymi gestami i przejdzie nad zbrodniami i wypędzeniami do porządku dziennego, jak już wiele razy w swojej historii.

3 kwietnia 2024

SPIS RZECZY

Cztery tysiące Żydów Tuska	5
Koronawirus w świetle rozumu. Zdrowego, chłopskiego rozumu	12
Powstańcza choroba dwubiegunowa	19
Słoneczna waluta	28
Główny błąd Zachodu	32
Im więcej, tym więcej	41
Smok się pręży	45
Wzmożeni	49
Nowa gra Niemiec	53
Wspólnicy zbrodni	60
Wielki powrót bata?	65
Alfabet apokalips	68

Wrogie przejęcie wolności	77
Eurorasizm	84
Kłątwa papieska	88
„Ty druha we mnie masz”	95
Bzdura lex	100
Utracona cześć ministra Błaszczaka	104
Rewolucja na górze	113
Niemcy zdezelowane	117
Engelking na miarę potrzeb	121
PO-PiS: wspólny marsz	132
Polska specjalność eksportowa: kapuś	141
Wołyń, na jaki pozwoliliśmy	152
Ucieczka do Rzeszy	156
Wielka śmieciowa obłuda	160
Gęba dla Konfederacji	168
Sojusznik albo zasób – wybór Ukrainy	172
Oda dla singielki	181
Klucz do migracji	185
Skok na Europę. Ostatni dzwonek	191
Odszczurzenie małopółdziej czeredy	200
Zbrodniczy hazard Izraela	204
Odblokowywanie KPO, czyli jak stracić cnotę za własnego rubla	213
Głupsi, ale bezczelni	219

Teoretykiem być	223
Teatr Rzeczypospolitej	227
Zemsta Wschodu	231
Pucz październowy	240
Wielki wuj	244
Wojna o czapkowanie	248
Prawnicy bezprawia	257
Gwałt z przyzwoleniem	264
Czas bezprawia	269
PiS – na twardo czy na miękko?	273
Niemce wiedzą lepiej	282
Skazana klasa	286
Państwo Europejskie: niemiecki klon ZSRS	290
W szponach klimatycznych wariatów	299
(Ch)wałę Tuskwowi	303
Z Kaczyńskim źle, bez niego nie lepiej	307
Szkoda pieniędzy na Holland i Stuhra	316
Uchwałę i pałą	321
Drôle de guerre	330
Hołownia Rydzyka się chwyta	334
Między górą a dołem, czyli Polacy jako króliki doświadczalne	338
Włam u Ziobrow	347
Zbrodnia jako „egzystencjalna konieczność”	355

Dlaczego aborcja?	364
Donald, który się wścieka	368
Polskie samobiczowanie	372
Premier Leszczyzna?	378
W żadnym trybie	383
Granica udawania	387
Na straży obrazowanszczyzny	397
Ukraina do rozbioru, Polska do szeregu	401
PiS w poszukiwaniu PiS	406
Upokorzenie zamiast wsparcia	414
Operetkowy zamordyzm	421
Fabryka żółtych pasków	425
Koalicja niezgody	429
Katastrofa paryska	436
Niemcy dają radę	443
Fałszywe oświecenie, fałszywa religia, fałszywa krucjata	448

ZIEMKIEWICZ

CZAS

BEZPRAWIA



fabryka słów
WYDAWNICTWO